
Matka
mojej żony
Roj Rojkowski

ROJ ROJKOWSKI

Matka mojej żony

Copyright © 2026 by Roj Rojkowski

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored, or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording, scanning, or otherwise without written permission from the publisher. It is illegal to copy this book, post it to a website, or distribute it by any other means without permission.

First edition

This book was professionally typeset on Reedsy.
Find out more at reedsy.com

Contents

1	Chapter 1	1
2	Chapter 2	11
3	Chapter 3	25
4	Chapter 4	40
5	Chapter 5	67
6	Chapter 6	78
7	Chapter 7	105
8	Chapter 8	114
9	Chapter 9	137
10	Chapter 10	146
11	Chapter 11	160
12	Chapter 12	177
13	Chapter 13	189
14	Chapter 14	199
15	Chapter 15	213
16	Chapter 16	223
17	Chapter 17	238
18	Chapter 18	250
19	Chapter 19	260
20	Chapter 20	274
21	Chapter 21	284
22	Chapter 22	299

1

Chapter 1

Telefon zadzwonił kilka minut po dziewiętnastej.

Marek siedział przy kuchennym stole z laptopem przed sobą i od dobrych dziesięciu minut wpatrywał się w tę samą tabelę, nie rejestrując już właściwie żadnej z liczb. Z salonu dochodził cichy dźwięk telewizora, w którym jakiś prezenter z przesadną powagą omawiał wydarzenia dnia. Za oknem było już prawie ciemno. Początek jesieni zdążył zabrać wieczorom tę przyjemną, letnią długość, kiedy nawet po dwudziestej człowiek miał wrażenie, że dzień jeszcze się nie skończył.

Agnieszka stała przy blacie kuchennym i kroiła pomidory.

— Odbierzesz? — zapytała, nie podnosząc głowy.

Marek spojrzał na swój telefon.

— To nie mój.

Dopiero wtedy Agnieszka zerknęła na aparat leżący przy ekspresie do kawy. Na ekranie wyświetlało się jedno słowo.

Mama.

— Pewnie znowu chce zapytać, czy w niedzielę przyjedziemy — powiedziała Agnieszka.

Wytarła dłonie w ręcznik i odebrała.

— Cześć, mamo.

Marek wrócił wzrokiem do ekranu laptopa.

Nie zdążył jednak przeczytać nawet pierwszego wiersza.

— Słucham?

Ton głosu żony sprawił, że natychmiast uniósł głowę.

Agnieszka przestała się uśmiechać.

— Ale jak to?

Przez kilka sekund stała nieruchomo.

Marek zamknął laptop.

— Co się stało?

Agnieszka nie odpowiedziała.

— Gdzie jesteś? — zapytała do telefonu. — Mamo, powoli. Powiedz jeszcze raz.

Marek już wstawał.

Znał swoją żonę wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że coś było nie tak. Nie chodziło o zwykłe zdenerwowanie. Twarz Agnieszki zrobiła się nagle blada, a palce zacisnęły się mocniej na telefonie.

— Który szpital?

Marek podszedł bliżej.

Agnieszka spojrzała na niego.

— Mama miała wypadek.

Nie powiedziała tego dramatycznie. Właściwie powiedziała bardzo cicho.

I właśnie dlatego zabrzmiało gorzej.

— Co się stało?

Agnieszka uniosła dłoń, prosząc go, żeby przez chwilę nie mówił.

— Dobrze. Jedziemy. Nie, nie ruszaj się nigdzie. Oczywiście, że przyjedziemy.

Rozłączyła się.

Przez moment patrzyła tylko na telefon.

— Agnieszka?

— Samochód.

— Co z nią?

— Podobno nic bardzo poważnego.

Marek wypuścił powietrze.

— Podobno?

— Jakiś facet wymusił pierwszeństwo. Uderzył w bok samochodu. Mama ma złamaną nogę i coś z ręką. Robili jej badania. Zostawiają ją chyba do jutra.

— To jedziemy.

Nie było czego ustalać.

Marek zamknął komputer, Agnieszka wyłączyła kuchenkę, choć nic się na niej nie gotowało, a kilka minut później byli już w samochodzie.

Przez pierwsze kilometry prawie się nie odzywali.

Agnieszka siedziała obok z telefonem w dłoni, co chwilę odblokowując ekran, jakby spodziewała się kolejnej wiadomości.

— Dzwoniła sama? — zapytał Marek.

— Tak.

— To dobry znak.

— Wiem.

— Skoro mogła zadzwonić, mówi normalnie i lekarze mówią o złamaniach, to naprawdę mogło skończyć się dużo gorzej.

— Wiem, Marek.

Tym razem było w jej głosie trochę irytacji.

Marek nie odpowiedział.

Nie miał jej tego za złe. Sam pewnie reagowałby podobnie.

Ewę znał od siedemnastu lat.

Prawie tak długo, jak Agnieszkę.

Po raz pierwszy zobaczył ją jeszcze wtedy, gdy był dwudziest oszścioletnim facetem, który pojechał na rodzinny obiad do rodziców dziewczyny i przez całą drogę zastanawiał się, czy powinien kupić kwiaty jej matce.

Kupił.

Pamiętał nawet jakie.

Tulipany.

Ewa przyjęła je z uśmiechem, spojrzała na niego uważnie i powiedziała:

— Czyli to ty jesteś tym Markiem.

Przez wiele lat żartowała później, że od początku wiedziała, iż zostanie jej zięciem.

Marek nigdy w to nie wierzył.

Ewa była po prostu bardzo dobra w sprawianiu wrażenia, że zawsze wie więcej od innych.

Miała ten rodzaj pewności siebie, którego nie trzeba było nikomu udowadniać.

Kiedy żył jej mąż, Janusz, tworzyli parę, którą Marek uważał za niemal niezniszczalną. Nie byli przesadnie romantyczni. Nie trzymali się za ręce przy stole i nie zwracali do siebie zdrobnieniami przy rodzinie. Za to doskonale funkcjonowali razem.

Potem Janusz zachorował.

Choroba trwała długo.

Zbyt długo.

Marek pamiętał Ewę z tamtego okresu jako kobietę zmęczoną, ale niezwykle uporządkowaną. Leki zawsze były podane na czas. Wizyty zapisane. Dokumenty przygotowane. Nawet w szpitalu potrafiła pamiętać, komu trzeba zadzwonić i co załatwić

następnego dnia.

Janusz zmarł trzy lata temu.

Od tamtej pory Ewa mieszkała sama.

Agnieszka wielokrotnie proponowała jej przeprowadzkę bliżej nich, ale Ewa za każdym razem odpowiadała dokładnie tak samo:

— Jeszcze nie jestem niedołężna.

Marek spojrzał teraz na żonę.

— Chcesz, żebym zadzwonił do szpitala?

— Nie. Powiedziała, że wszystko nam wyjaśnią na miejscu.

— Dobrze.

Agnieszka pokiwała głową.

Po chwili odezwała się ciszej:

— Ona będzie wściekła.

Marek zerknął na nią.

— Na kogo?

— Na cały świat. Na kierowcę. Na lekarzy. Na samochód. Na nogę. Najbardziej na to, że ktoś będzie musiał jej pomagać.

Marek uśmiechnął się mimo sytuacji.

— To akurat brzmi jak twoja mama.

Agnieszka też się uśmiechnęła.

Po raz pierwszy od telefonu.

Ewa siedziała na szpitalnym łóżku z lewą nogą unieruchomioną i ręką zabezpieczoną stabilizatorem.

Kiedy zobaczyła córkę, przewróciła oczami.

— Nie patrz tak na mnie.

Agnieszka podeszła natychmiast i objęła ją ostrożnie.

— Jak mam patrzeć?

— Jakbym właśnie umierała.

— Miałaś wypadek.

— Miałam stłuczkę.

— Masz złamaną nogę.

— To nadal nie jest śmierć.

Marek zatrzymał się przy łóżku.

Ewa spojrzała na niego.

— I ciebie też przyciągnęła.

— Sam przyjechałem.

— To niedobrze. Myślałam, że ktoś w tej rodzinie zachował rozsądek.

Marek uśmiechnął się.

To była Ewa.

Jeśli miała siłę złośliwie żartować, naprawdę nie było najgorzej.

— Jak się czujesz? — zapytał.

— Jak kobieta, która przez najbliższe tygodnie będzie musiała prosić innych o podanie szklanki z górnej półki.

— Czyli tragicznie.

— Dokładnie.

Agnieszka westchnęła.

— Mamo.

— Co?

— Możesz chociaż przez pięć minut zachowywać się jak normalny pacjent?

— Nie.

Lekarz pojawił się po kilkunastu minutach.

Wyjaśnił im sytuację spokojnie i rzeczowo. Złamanie nie wymagało operacji, ale Ewa przez kilka tygodni miała mieć bardzo ograniczoną możliwość poruszania się. Ręka była mocno stłuczona i nadwyrężona, choć bez złamania. Po wypisie miała rozpocząć kontrolę ortopedyczną, a później rehabilitację.

— Sama pani mieszka? — zapytał lekarz.

— Tak.

— Przez pierwsze dni zdecydowanie odradzałbym pozostawanie samemu.

Ewa natychmiast otworzyła usta.

Agnieszka była szybsza.

— Zamieszka u nas.

Ewa spojrzała na córkę.

— Nie zamieszkam.

— Zamieszkasz.

— Agnieszka...

— Mamo, nawet nie zaczynaj.

— Mam własny dom.

— I schody.

— Poradzę sobie.

— Jak?

Ewa milczała.

Agnieszka skrzyżowała ręce.

— No właśnie.

Marek przez chwilę obserwował obie kobiety.

Były do siebie podobne dużo bardziej, niż którakolwiek chciała przyznać.

Ten sam upór.

Ta sama mina, gdy wiedziały, że mają rację.

— Ewa — odezwał się. — To tylko kilka tygodni.

Spojrzała na niego.

— Ty też?

— Niestety.

— Zdrajca.

— Przyjmuję.

Ewa pokręciła głową.

— Będę wam przeszkadzać.

— Nie będziesz — powiedziała Agnieszka.

— Macie swoje życie.

— Mamy wolny pokój.

— Marek będzie miał mnie dość po trzech dniach.

— Po dwóch — odpowiedział Marek.

Ewa spojrzała na niego przez sekundę, po czym się roześmiała.

— Wiedziałam.

— Ale wytrzymam.

— Nie jestem taka pewna.

— Ja jestem.

Z jakiegoś powodu spojrzeli na siebie odrobinę dłużej.

Nic w tym nie było.

Przynajmniej wtedy.

Marek widział przecież w Ewie dokładnie tę samą osobę, którą znał od siedemnastu lat.

Matkę swojej żony.

Teściową.

Kobietę starszą od niego o kilkanaście lat, która pytała go podczas rodzinnych obiadów, czy chce jeszcze ziemniaków, pamiętała o jego urodzinach i zawsze kupowała mu zbyt drogie prezenty na święta.

Nie istniał żaden powód, żeby patrzeć na nią inaczej.

Jeszcze nie.

Dwa dni później Marek wnosił walizkę Ewy po schodach do ich domu.

— Mówiłam, że mogłam spakować mniej — rzuciła zza jego pleców.

Marek odwrócił głowę.

Ewa stała przy wejściu oparta na kulach, a Agnieszka przytrzymywała drzwi.

— To jest mniej?

— Tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

— Masz trzy torby.

— Kobieta potrzebuje rzeczy.

— Na trzy tygodnie?

— Marek, jestem twoją teściową. Nie próbuj zrozumieć. Po prostu zaakceptuj.

— Już dawno zaakceptowałem.

Agnieszka parsknęła śmiechem.

— Przestańcie oboje.

Marek zaniósł rzeczy do pokoju gościnnego.

Nie korzystali z niego często. Stało tam duże łóżko, niewielka komoda i szafa, w której Agnieszka trzymała część zimowych ubrań. Okno wychodziło na ogród.

Ewa weszła kilka minut później.

Rozejrzała się.

— Całkiem luksusowo.

— Ręczniki masz w łazience obok — powiedziała Agnieszka. — Leki położymy tutaj. Marek jutro kupi ci jeszcze ten podnóżek, o którym mówił lekarz.

— Marek niczego nie będzie mi kupował.

— Będzie.

— Agnieszka.

— Mamo.

Ewa westchnęła.

— Przypominasz mi siebie, kiedy miałaś piętnaście lat.

— A ty mnie siebie teraz.

Marek postawił ostatnią torbę przy szafie.

— Ja zejdę na dół, zanim zaczniecie walczyć.

— Mądry człowiek — powiedziała Ewa.

Wyszedł.

Po kilku krokach usłyszał jednak głos teściowej:

— Marek?

Odwrócił się.

Ewa stała w drzwiach pokoju.

— Tak?

Przez chwilę wyglądała, jakby trudno było jej wypowiedzieć następne słowa.

— Dziękuję.

Marek wzruszył ramionami.

— Za co?

— Za to wszystko.

— Nie ma za co.

— Jest.

Uśmiechnęła się lekko.

Nie był to ten ironiczny uśmiech, który znał najlepiej.

Tym razem był zwyczajnie ciepły.

Marek odpowiedział uśmiechem i zszedł na dół.

Jeszcze wtedy nie wiedział, że w ciągu następnych kilku tygodni ten pokój, ta łazienka, kuchnia, salon i zwyczajne schody ich domu zaczną kojarzyć mu się z rzeczami, o których nigdy wcześniej nawet nie pomyślał.

Bo Ewa przyjechała do nich jako jego teściowa.

I właśnie tak ją widział.

Na razie.

2

Chapter 2

Pierwsze dwa dni minęły szybciej, niż Marek się spodziewał.

Ewa, wbrew wcześniejszym zapowiedziom, rzeczywiście próbowała robić wszystko sama. Przesuwała krzesła kulą, próbowała przenosić kubek pod pachą, kombinowała, jak otworzyć szafkę jedną ręką i kilka razy niemal doprowadziła Agnieszkę do szału.

— Mamo, usiądź.

— Siedzę pół dnia.

— To posiedź jeszcze trochę.

— Niedługo zacznę zapuszczać korzenie.

— Lepiej korzenie niż kolejne złamanie.

Marek słuchał tych wymian z rozbawieniem.

Znał obie kobiety zbyt dobrze, żeby próbować wchodzić między nie.

Agnieszka miała potrzebę kontrolowania wszystkiego, czego się bała.

Ewa miała potrzebę udowadniania, że niczego się nie boi.

W praktyce oznaczało to, że każda rozmowa dotycząca leków, wizyty u lekarza, kul albo jedzenia mogła zamienić się w małą wojnę.

Trzeciego dnia wszystko trochę się uspokoiło.

Agnieszka wróciła do pracy.

Marek pracował tego dnia z domu.

I nagle dom, który zwykle od rana był pusty, zaczął brzmieć inaczej.

Najpierw usłyszał kroki kul na korytarzu.

Potem otwieranie szafki.

Potem ciche przekleństwo.

Marek oderwał wzrok od monitora.

— Ewa?

— Nic się nie stało.

To zawsze oznaczało, że coś się stało.

Wstał od biurka i wyszedł do kuchni.

Ewa stała przy blacie. Jedną kulę oparła o szafkę, drugą trzymała pod pachą, a przed nią leżała paczka kawy.

— Co robisz?

— Kawę.

— Widzę.

— To po co pytasz?

— Bo wyglądasz, jakbyś próbowała ją zrobić metodą survivalową.

Ewa spojrzała na niego spod uniesionej brwi.

— Naprawdę nie potrzebuję pomocy przy kawie.

Marek podszedł bliżej.

— Kubek masz na górze.

— Wiem.

— Czajnik jest po drugiej stronie.

— Wiem.
— I dlatego od pięciu minut stoisz tutaj i analizujesz kuchnię?
— Zastanawiałam się nad strategią.
Marek sięgnął po kubek.
— Strategia brzmi: prosisz Marka.
— Okropna strategia.
— Ale skuteczna.
Wstawił wodę.
Ewa usiadła przy stole.
— Dwie łyżeczki?
— Jedna.
— Kiedyś piłaś słodką.
— Kiedyś miałam dwadzieścia lat mniej.
Marek odwrócił głowę.
— Cukier wpływa na wiek?
— Na wszystko coś wpływa.
— To brzmi jak wymówka.
— Bo jest wymówką.
Podał jej kawę.
— Proszę.
— Dziękuję.
Marek usiadł naprzeciwko.
Miał wrócić do pracy od razu.
Nie wrócił.
Przez kilka minut rozmawiali o niczym.
O pogodzie.
O samochodzie Ewy.
O tym, że ubezpieczyciel zadzwonił rano.
O tym, że Agnieszka znowu została dłużej w biurze.
Ewa wypiła łyk kawy.
— Dużo pracuje.

— Ostatnio tak.

— Ostatnio?

— Od paru miesięcy.

— Przeszkadza ci to?

Marek wzruszył ramionami.

— Taka praca.

Ewa spojrzała na niego uważniej.

— Nie odpowiedziałeś.

Marek uśmiechnął się.

— Ty zawsze tak przesłuchujesz ludzi?

— Tylko rodzinę.

— To jeszcze gorzej.

Ewa oparła łokieć o stół.

— Pytam, bo jak ktoś mówi „taka praca", to zwykle znaczy, że coś mu przeszkadza, ale nie chce narzekać.

Marek przez chwilę nic nie mówił.

— Czasami wolałbym, żeby wcześniej wracała.

Ewa skinęła głową.

Bez komentarza.

I właśnie to sprawiło, że Marek powiedział więcej.

— Ostatnio właściwie tylko się mijamy.

— Rozmawiałeś z nią o tym?

— Tak.

— I?

— Powiedziała, że to chwilowe.

Ewa uśmiechnęła się lekko.

— Najdłuższe rzeczy w życiu zawsze zaczynają się od „to tylko chwilowe".

Marek spojrzał na nią.

— Brzmisz jak ekspert.

— Trochę nim jestem.

— W czym?

— W odkładaniu życia na później.

To zdanie zabrzmiało inaczej niż wcześniejsze żarty.

Marek zauważył zmianę w jej głosie.

Nie odpowiedział od razu.

— Mówisz o Januszu?

Ewa spojrzała w stronę okna.

— Trochę.

Zapadła cisza.

Marek znał historię choroby swojego teścia.

Ale nigdy nie rozmawiał z Ewą o tym wprost.

Rodzina zwykle rozmawia o faktach.

Diagnoza.

Leczenie.

Szpital.

Pogrzeb.

Rzadziej o tym, co dzieje się pomiędzy.

— Ostatnie dwa lata wszystko było podporządkowane chorobie — powiedziała Ewa. — I to nie jest pretensja. Zrobiłabym to jeszcze raz.

Marek słuchał.

— Ale człowiek pewnego dnia zauważa, że już nie pamięta, kiedy ostatnio zrobił coś tylko dlatego, że miał na to ochotę.

Spojrzała na niego.

— A potem zostaje sam i nagle ma mnóstwo czasu.

Marek odstawił kubek.

— I co z nim zrobiłaś?

Ewa parsknęła.

— Na początku?

— Mhm.

— Sprzątałam.

Marek się roześmiał.

— Poważnie?

— Cały dom. Szafy. Piwnicę. Garaż. Jakby od uporządkowania rzeczy miało się uporządkować wszystko inne.

— Pomogło?

— Nie.

— To przynajmniej masz czystą piwnicę.

— To akurat prawda.

Roześmiali się oboje.

Marek spojrzał na zegarek.

— Cholera.

— Co?

— Miałem być na spotkaniu pięć minut temu.

— To idź.

— Teraz mi pozwalasz?

— Nie będę miała na sumieniu twojego bezrobocia.

Marek wstał.

— Jakbyś czegoś potrzebowała...

— Zawołam.

Zatrzymał się.

— Naprawdę?

Ewa przewróciła oczami.

— Postaram się.

— To już postęp.

Wrócił do gabinetu.

I dopiero po kilkunastu minutach zauważył, że nadal myśli o jej zdaniu.

Nie pamięta, kiedy ostatnio zrobiła coś tylko dlatego, że miała na to ochotę.

Nie wiedział jeszcze, dlaczego tak mocno utkwiło mu w głowie.

Po południu Ewa miała pierwszą kontrolę.

Agnieszka zadzwoniła chwilę po czternastej.

— Dasz radę ją zawieźć?

Marek spojrzał na zegarek.

— Tak.

— Na pewno?

— Aga, pracuję z domu. Mogę sobie przesunąć godzinę.

— Dzięki.

— Nie ma sprawy.

— I pilnuj, żeby nie próbowała sama schodzić po schodach.

Marek zerknął w stronę drzwi gabinetu.

— Mamo, słyszę cię! — krzyknęła Ewa z salonu.

Agnieszka wybuchnęła śmiechem.

— Widzisz?

— Niestety.

— Zadzwonię później.

Rozłączyła się.

Marek wyszedł do salonu.

Ewa siedziała na kanapie i czytała książkę.

— Podsłuchujesz.

— Trudno nie podsłuchiwać, kiedy rozmawiacie o mnie jak o niesfornym dziecku.

— Zachowujesz się jak niesforne dziecko.

— Jestem od ciebie starsza.

— To powinno działać na twoją korzyść.

Ewa zamknęła książkę.

— Jedziemy?

— Za dwadzieścia minut.

— Jestem gotowa.

Marek spojrzał na nią.

Miała na sobie jeansy i luźny sweter.

Nic szczególnego.

A jednak przez moment pomyślał, że od kiedy zamieszkała u nich, widzi ją częściej bez tego całego rodzinnego kontekstu.

Nie przy stole podczas świąt.

Nie podczas urodzin Agnieszki.

Nie jako osobę, która przynosi ciasto i pyta, czy wszystkim smakuje.

Po prostu Ewę.

Szybko odrzucił tę myśl.

— Dobra. To ruszamy.

Pomógł jej wstać.

Ewa oparła dłoń na jego przedramieniu.

To był zwykły gest.

Praktyczny.

Potrzebowała stabilności.

Mimo to Marek zauważył jej dotyk bardziej, niż powinien.

Nie chodziło nawet o sam kontakt.

Raczej o to, że nagle uświadomił sobie jego obecność.

Jej dłoń.

Jego skórę.

Odległość między nimi.

Natychmiast poczuł się idiotycznie.

To twoja teściowa.

Pomógł jej dojść do samochodu.

W poczekalni siedzieli prawie godzinę.

Ewa była coraz bardziej zirytowana.

— Mogłam zostać w domu.

— I co? Sama sobie zdjąć gips?

— Jeszcze nie mam gipsu.

— Widzisz? Już nawet nie wiesz, co masz.

— Bardzo zabawne.

Marek uśmiechnął się.

— Przynajmniej nie jest nudno.

— Tobie.

Po chwili Ewa spojrzała na kobietę siedzącą naprzeciwko.

Potem na mężczyznę obok niej.

— Myślisz, że są małżeństwem?

Marek zmarszczył brwi.

— Kto?

— Ci naprzeciwko.

— Nie wiem.

— Spójrz.

— Nie będę się gapił na obcych ludzi.

— Jesteś strasznie nudny.

— Dziękuję.

Ewa nachyliła się lekko.

— Ona jest na niego zła.

— Skąd wiesz?

— Nie patrzy na niego.

— Może po prostu patrzy na ścianę.

— Marek.

— No co?

— Kobieta nigdy nie patrzy demonstracyjnie na ścianę bez powodu.

Marek parsknął śmiechem.

— To jakaś kobieca wiedza tajemna?

— Oczywiście.

Po kilku minutach rzeczywiście okazało się, że para zaczęła się kłócić szeptem.

Marek spojrzał na Ewę.

— Dobra.

— Co?

— Miałaś rację.

Ewa uśmiechnęła się triumfalnie.

— Powiedz jeszcze raz.

— Nie przesadzaj.

— Chcę zapamiętać ten moment.

Marek pokręcił głową.

Znowu się roześmiał.

I wtedy zauważył coś, co wcześniej jakoś mu umykało.

Z Ewą naprawdę dobrze mu się rozmawiało.

Nie tylko jako z teściową.

Po prostu dobrze.

Lekarz był zadowolony.

Proces gojenia przebiegał prawidłowo. Ewa nadal miała oszczędzać nogę i nie próbować udowadniać światu, że potrafi zrobić wszystko sama.

Marek spojrzał na nią znacząco.

— Nie komentuj — powiedziała.

— Nic nie powiedziałem.

— Ale pomyślałeś.

— To jeszcze wolno.

— Zobaczymy.

Po wyjściu ze szpitala Marek zatrzymał się przed drzwiami.

— Kawa?

Ewa spojrzała na niego.

— Co?

— Jest piętnasta. Do domu mamy dwadzieścia minut. Agnieszka wróci dopiero po osiemnastej.

— I?

— I obok jest kawiarnia.

Ewa zawahała się.

— W takim stanie?

Marek spojrzał na jej nogę.

— Nie wiedziałem, że złamana noga jest przeciwwskazaniem do picia kawy.

— Bardzo śmieszne.

— Czyli?

Ewa uśmiechnęła się.

— Dobrze.

Poszli do niewielkiej kawiarni po drugiej stronie ulicy.

Kelner zaprowadził ich do stolika przy oknie.

Marek pomógł Ewie usiąść.

Zamówili kawę i po kawałku ciasta.

Przez chwilę rozmawiali o rehabilitacji.

Potem o książkach.

Potem o filmach.

I gdzieś pomiędzy jednym tematem a drugim Marek zorientował się, że minęło czterdzieści minut.

— Dawno nie siedziałam tak po prostu w kawiarni — powiedziała Ewa.

— Jak to?

— Sama nie wiem.

— Przecież wychodzisz.

— Oczywiście, że wychodzę. Z koleżankami. Na zakupy. Czasem do teatru.

— To w czym różnica?

Ewa zamieszała kawę.

— Nie wiem.

Spojrzała na niego.

— Może w tym, że dziś nie muszę niczego organizować.

Marek przez moment patrzył na nią bez słowa.

Kelner podszedł do stolika.

— Czy mogę państwu jeszcze coś podać?

— Nie, dziękujemy — odpowiedział Marek.

Mężczyzna zebrał puste talerzyki.

— W takim razie miłego popołudnia państwu.

Odszedł.

Ewa patrzyła za nim przez chwilę, a potem na Marka.

— Wiesz, co jest zabawne?

— Co?

— Myśli, że jesteśmy parą.

Marek spojrzał w stronę kelnera.

— Skąd wiesz?

— Bo powiedział „państwu" tym tonem.

— Jakim tonem?

— Tym.

Marek się roześmiał.

— Znowu twoja tajemna wiedza?

— Dokładnie.

— Może po prostu powiedział „państwu", bo siedzimy przy jednym stoliku.

Ewa uniosła brwi.

— Chcesz go zawołać i sprostować?

Marek spojrzał na nią.

— Dzień dobry, chciałem tylko poinformować, że ta pani jest moją teściową.

— Dokładnie.

Oboje zaczęli się śmiać.

I przez krótką chwilę Marek pomyślał, że rzeczywiście z boku mogli wyglądać inaczej.

Mężczyzna.

Kobieta.

Kawa.

Rozmowa.

Nic więcej.

Natychmiast poczuł lekkie zakłopotanie własną myślą.

Ewa chyba tego nie zauważyła.

Albo zauważyła i nic nie powiedziała.

Agnieszka wróciła po dziewiętnastej.

— Jak było?

— Żyję — odpowiedziała Ewa.

— Lekarz?

— Wszystko dobrze.

Agnieszka spojrzała na Marka.

— Naprawdę?

— Tak. Ma tylko przestać udawać, że jest niezniszczalna.

— Wiedziałam.

— Jestem tutaj — powiedziała Ewa.

Agnieszka pocałowała matkę w policzek.

— Wiem.

Wieczorem jedli razem kolację.

Agnieszka opowiadała o problemie w pracy.

Marek słuchał.

Ewa również.

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno.

Rodzina przy stole.

Mąż.

Żona.

Matka żony.

Tyle że Marek po raz pierwszy złapał się na czymś dziwnym.

Kiedy Ewa powiedziała coś zabawnego, spojrzał na nią wcześniej niż na Agnieszkę.

To było nic.

Automatyczny odruch.

Zwykła reakcja.

A jednak zauważył.

I właśnie dlatego natychmiast odwrócił wzrok.

Nie miał pojęcia, że Ewa zauważyła również.

Nie powiedziała nic.

Jedynie sięgnęła po kieliszek wody i przez moment na jej ustach pojawił się ledwie widoczny uśmiech.

3

Chapter 3

Marek obudził się kilka minut przed budzikiem.

Leżał przez chwilę nieruchomo, patrząc w półmrok sypialni. Agnieszka spała odwrócona do niego plecami, przykryta kołdrą niemal po samą szyję. Jej włosy rozsypały się po poduszce, a oddech był spokojny i równy.

Spojrzał na zegarek.

6:14.

Mógł jeszcze zasnąć.

Zamiast tego przesunął się bliżej żony i objął ją w pasie.

Agnieszka poruszyła się.

— Która godzina? — wymamrotała.

— Wcześnie.

— To po co mnie budzisz?

— Nie budzę.

— Właśnie budzisz.

Marek uśmiechnął się i pocałował ją lekko w ramię.

Agnieszka odwróciła głowę.

— Masz dziś dobry humor.

— Powinienem mieć zły?

— O szóstej rano? Zdecydowanie.

Odwróciła się do niego.

Przez kilka sekund patrzyli na siebie z bliska.

Było w tym coś bardzo znajomego.

Siedemnaście lat wspólnego życia sprawiało, że człowiek znał twarz drugiej osoby niemal na pamięć. Marek wiedział, jak Agnieszka marszczy nos, kiedy dopiero się budzi. Wiedział, że nie lubi rozmów przed pierwszą kawą. Wiedział też, że jeśli teraz zacznie opowiadać o pracy, zostanie wyrzucony z łóżka.

— Co? — zapytała.

— Nic.

— Patrzysz.

— Na żonę chyba mogę.

— Zależy jak długo.

Marek nachylił się.

Ich usta spotkały się w krótkim, spokojnym pocałunku.

Agnieszka położyła dłoń na jego karku i przyciągnęła go jeszcze na moment.

Kiedy się odsunęła, westchnęła.

— Gdybym nie miała spotkania o ósmej...

— To?

— To może dałabym ci pięć minut.

Marek uniósł brwi.

— Pięć?

— Jestem hojna.

— Po siedemnastu latach małżeństwa tylko pięć?

— Inflacja.

Parsknął śmiechem.

Agnieszka wysunęła się spod kołdry.

— Idę pod prysznic.

— Przemyśl te pięć minut.

— Nie.

— Dziesięć?

— Marek.

— Dobra.

Agnieszka zabrała ubrania i wyszła z sypialni.

Marek jeszcze przez chwilę leżał.

Lubił takie poranki.

Nie było ich ostatnio wiele.

Nie dlatego, że przestali się lubić.

Nie dlatego, że się kłócili.

Po prostu życie zrobiło się bardzo praktyczne.

Praca.

Zakupy.

Rachunki.

Obowiązki.

Kto odbierze samochód z serwisu.

Kto zadzwoni do hydraulika.

Co zrobić na kolację.

Kiedy pojechać do Ewy.

A teraz Ewa nawet nie wymagała wyjazdu.

Była piętnaście metrów dalej.

Marek zamknął oczy.

I zupełnie bez powodu przypomniała mu się wczorajsza kawiarnia.

Myśli, że jesteśmy parą.

Otworzył oczy.

— Idiota — powiedział cicho do siebie.

Wstał.

Ewa już siedziała w kuchni.

Marek zatrzymał się w drzwiach.

— Jak ty to zrobiłaś?

Spojrzała na niego znad kubka.

— Co?

— Kawa.

— Jestem niepełnosprawna czasowo, nie bezradna.

— Agnieszka ci zrobiła?

— Nie.

— Sama?

— Marek, ugotowałam kawę. Nie zdobyłam Mount Everestu.

Spojrzał na blat.

Kubek stał przed nią.

Czajnik obok.

Jedna kula była oparta o krzesło.

— Kombinowałaś.

— Trochę.

— Miałem ci pomagać.

— Spałeś.

— Mogłaś zawołać.

Ewa uśmiechnęła się.

— Nie będę budziła zięcia, bo mam ochotę na kawę.

Marek podszedł do ekspresu.

— Zapamiętam to zdanie, kiedy następnym razem będziesz czegoś potrzebowała.

— Nie szantażuj mnie.

— To nie szantaż. To wychowanie.

— Trochę za późno.

Marek włączył ekspres.

Dopiero wtedy spojrzał na nią dokładniej.

Ewa miała na sobie luźną, jasną bluzkę i miękkie spodnie.

Włosy spięła niedbale z tyłu głowy, bez makijażu wyglądała inaczej niż podczas rodzinnych spotkań.

Młodziej?

Nie.

To nie było właściwe słowo.

Naturalniej.

Marek nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego w ogóle zaczął to analizować.

Po prostu zauważył.

— Co? — zapytała Ewa.

Marek odwrócił wzrok.

— Nic.

— To drugie „nic" w ciągu minuty.

— Jakie drugie?

— Najpierw stałeś w drzwiach i patrzyłeś, teraz znowu patrzysz.

— Sprawdzałem, czy nie próbujesz kolejnej operacji specjalnej z czajnikiem.

Ewa patrzyła na niego chwilę dłużej.

— Oczywiście.

W jej głosie było coś, czego Marek nie potrafił od razu sklasyfikować.

Rozbawienie?

Może.

W tym momencie do kuchni weszła Agnieszka.

Była już ubrana do pracy.

— Dzień dobry.

Podeszła do Marka i pocałowała go w policzek.

— Zrobisz mi kawę?

— Już robię.

— Kocham cię.

— Tylko dlatego?
— Na razie wystarczy.
Ewa pokręciła głową.
— Romantyzm w waszym małżeństwie mnie wzrusza.
Agnieszka usiadła obok niej.
— Jak noga?
— Nadal przyczepiona.
— Mamo.
— Dobrze. Trochę boli.
— Wzięłaś lek?
— Tak.
Agnieszka spojrzała podejrzliwie.
— Naprawdę?
— Chcesz policzyć tabletki?
— Mogę.
— Wierzę.
Marek postawił kawę przed żoną.
Agnieszka chwyciła go za dłoń.
— Dzięki.
To był drobny gest.
Zwykły.
Marek ścisnął jej palce.
Ewa obserwowała ich przez chwilę.
— Co? — zapytała Agnieszka.
— Nic.
Marek spojrzał na teściową.
Ich spojrzenia spotkały się na sekundę.
Ewa uśmiechnęła się.
— Po prostu dobrze was widzieć takich.
— Jakich? — zapytała Agnieszka.
— Normalnych.

— To brzmi podejrzanie.
— Bo cię znam.
Agnieszka parsknęła.
— Dobra. Muszę lecieć.
Wstała.
Pocałowała matkę w policzek, potem podeszła do Marka.
— Będę późno.
— Jak późno?
— Pewnie około dwudziestej.
Marek westchnął.
— Znowu?
— Wiem.
— Dobra.
Agnieszka spojrzała mu w oczy.
— Nie bądź zły.
— Nie jestem.
— Jesteś.
— Trochę.
Agnieszka pocałowała go krótko.
— Wynagrodzę ci.
— Zapamiętam.
— Tylko nie przy mamie.
Ewa uniosła kubek.
— Nic nie słyszałam.
Agnieszka wyszła.
Po chwili trzasnęły drzwi wejściowe.
W kuchni zrobiło się cicho.
Marek dopił kawę.
— Czyli zostaliśmy sami — powiedziała Ewa.
Spojrzał na nią.
— Brzmi groźnie.

— Powinno.

Uśmiechnęła się.

Marek też.

I dopiero chwilę później przyszło mu do głowy, że sposób, w jaki to powiedziała, zabrzmiał trochę inaczej niż zwykle.

Przed południem Marek pracował w gabinecie.

Ewa czytała w salonie.

Około jedenastej usłyszał, jak coś upada.

Wyszedł od razu.

— Ewa?

— Tutaj.

Stała przy schodach.

Na podłodze leżała książka.

— Co robisz?

— Upuściłam.

— To widzę.

Marek podniósł książkę.

— Chciałam wejść na górę.

— Sama?

— Mam kule.

— Lekarz powiedział...

— Wiem, co powiedział lekarz.

— I dlatego właśnie robisz odwrotnie?

Ewa spojrzała na niego z irytacją.

— Nie będę prosiła cię za każdym razem, kiedy chcę wejść do swojego pokoju.

— Będziesz.

— Nie.

— Ewa.

— Marek.

Stali naprzeciwko siebie.

Marek westchnął.

— Dobra. Chodź.

— Dam sobie radę.

— Właśnie widzę.

Podszedł bliżej.

— Oprzyj się na mnie.

— Nie musisz.

— Wiem.

Ewa zawahała się.

Potem objęła go jedną ręką.

Marek położył dłoń na jej boku, bardziej dla stabilizacji niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Zrobiła pierwszy krok.

Potem drugi.

Schody nie były strome, ale z usztywnioną nogą nawet kilka stopni okazywało się problemem.

— Powoli — powiedział.

— Wiem.

— Cały czas mówisz, że wiesz.

— Bo wiem.

— A potem robisz swoje.

— To też wiem.

Marek uśmiechnął się.

Na półpiętrze Ewa straciła na moment równowagę.

Marek odruchowo przyciągnął ją mocniej.

Jej ciało znalazło się bardzo blisko jego.

Tak blisko, że przez krótką chwilę żadne z nich się nie poruszyło.

Marek poczuł zapach jej perfum.

Delikatny.

Nie ten cięższy, którego używała zazwyczaj na rodzinne

uroczystości.

Coś świeższego.

Ewa uniosła głowę.

Ich twarze dzieliło może kilkanaście centymetrów.

— Mam cię — powiedział Marek.

— Widzę.

Powinien odsunąć rękę.

Nie zrobił tego od razu.

Dopiero po sekundzie.

Może dwóch.

— Dobra? — zapytał.

— Dobra.

Ruszyli dalej.

Marek nie powiedział już ani słowa.

Ewa również.

Kiedy dotarli na górę, Ewa usiadła na łóżku.

— Dzięki.

— Nie ma sprawy.

— Marek?

— Tak?

Ewa spojrzała na niego.

— Naprawdę nie musisz przy mnie skakać.

— Nie skaczę.

— Trochę skaczesz.

— Agnieszka by mnie zabiła, gdybyś sobie coś zrobiła.

— Czyli robisz to tylko ze strachu przed żoną?

Marek uśmiechnął się.

— Głównie.

Ewa uniosła brwi.

— Głównie?

Zorientował się, jak zabrzmiała odpowiedź.

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Oczywiście.

Ale uśmiechnęła się przy tym w sposób, który sprawił, że Marek poczuł lekkie zakłopotanie.

— Zejdę do pracy.

— Marek.

Odwrócił się ponownie.

— Tak?

— Ten sweter jest fatalny?

Zmarszczył brwi.

— Co?

Ewa wskazała na siebie.

— Od rana na mnie patrzysz. Pomyślałam, że może coś jest nie tak.

Marek poczuł, że został złapany.

— Nie patrzę.

— Patrzysz.

— Przesadzasz.

— To możliwe.

Ewa poprawiła włosy.

— Ale odpowiedz.

Marek zawahał się.

— Nie jest fatalny.

— To dobrze.

— Po prostu...

Urwał.

— Co?

— Nic.

Ewa popatrzyła na niego wyczekująco.

— Marek.

— Wyglądasz inaczej.

— Inaczej źle?

— Nie.

Za szybko.

Ewa natychmiast to zauważyła.

— Czyli dobrze?

Marek zaśmiał się nerwowo.

— Boże. Nie wiem, jak odpowiadać teściowej na takie pytania.

— Normalnie.

— Dobrze wyglądasz.

Ewa przyjęła odpowiedź bez żartu.

— Dziękuję.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło.

Marek pierwszy odwrócił wzrok.

— Wracam do pracy.

— Jasne.

Wyszedł.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, odetchnął głęboko.

Nie wydarzyło się nic.

Komplement.

Tylko tyle.

A jednak schodząc na dół, Marek miał dziwne wrażenie, że właśnie powiedział coś, czego wcześniej nigdy by nie powiedział.

Agnieszka wróciła kilka minut po dwudziestej.

Marek przygotował kolację.

Ewa siedziała już przy stole.

— Pachnie świetnie — powiedziała Agnieszka, zdejmując marynarkę.

— Zapamiętaj tę chwilę — odparł Marek. — Właśnie mnie pochwaliłaś.

— Nie przesadzaj.

Podeszła i objęła go od tyłu.

— Tęskniłam.

Marek spojrzał przez ramię.

— A rano mówiłaś, że dostanę pięć minut.

— Nie przy mamie.

Ewa uniosła dłonie.

— Nadal mnie tutaj nie ma.

Agnieszka pocałowała Marka w szyję.

Krótko.

Zwyczajnie.

Marek uśmiechnął się.

Przez moment całe napięcie z wcześniejszej rozmowy z Ewą gdzieś zniknęło.

To była jego żona.

Jego dom.

Jego życie.

Usiedli.

Podczas kolacji Agnieszka opowiadała o pracy.

Marek słuchał i co jakiś czas zadawał pytania.

Ewa komentowała.

Było normalnie.

Po jedzeniu Agnieszka wzięła kieliszek wina i usiadła z Markiem na kanapie. Ewa została w fotelu po drugiej stronie salonu.

Agnieszka położyła nogi na kolanach męża.

— Masujesz?

— To rozkaz?

— Prośba.

Marek zaczął masować jej stopy.

— Widzisz, mamo? — powiedziała Agnieszka. — Dobrze go wychowałam.

Ewa spojrzała na Marka.

— Zauważyłam.

Marek podniósł wzrok.

Nie wiedział dlaczego, ale przez ułamek sekundy jej odpowiedź zabrzmiała dla niego dwuznacznie.

Prawdopodobnie tylko dlatego, że od rana za dużo analizował.

Kilka minut później Ewa odłożyła książkę.

— Idę spać.

— Pomóc ci? — zapytał Marek.

Ewa spojrzała na niego.

— Dam sobie radę.

Marek już chciał zaprotestować, kiedy dodała:

— Ale możesz mnie odprowadzić do schodów.

Agnieszka nawet nie zwróciła na to uwagi.

— Pomóż mamie.

Marek wstał.

Ewa sięgnęła po kule.

Kiedy przechodzili do korytarza, Agnieszka zawołała:

— Marek!

Odwrócił się.

— Co?

— Wracaj szybko.

Uśmiechnęła się do niego w sposób, który doskonale znał.

Marek odpowiedział tym samym.

— Zaraz będę.

Ewa stała obok.

Spojrzała najpierw na córkę.

Potem na Marka.

Nic nie powiedziała.

Ale kiedy ruszyli w stronę schodów, tym razem to ona pierwsza położyła dłoń na jego ramieniu.

— Nie patrz tak — powiedziała cicho.

— Jak?
— Jakbyś się bał, że znowu spadnę.
— Bo się boję.
Ewa uśmiechnęła się.
— Za bardzo się mną przejmujesz.
Marek pomógł jej zrobić pierwszy krok.
— Jesteś matką mojej żony.
— Wiem.
Drugi stopień.
— To normalne.
Ewa zatrzymała się na moment.
— Oczywiście.
Ruszyła dalej.
Marek nie widział jej twarzy.
Gdyby widział, zauważyłby, że się uśmiecha.
Nie szeroko.
Ledwie zauważalnie.
Ale już nie tak, jak teściowa uśmiecha się do zięcia.